Lwów, 21. Września. Nr 113. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO-ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XI.

(Ciąg dalszy).

W tak częstych dolegliwościach swojego tak wielostronnego nieszczęścia Kamil się nadzwyczajnie prędko hartował i już wtenczas czuł się na siłach, każde swoje postanowienie wypełnić do joty; jakoż i ten nudny i oburzający stosunek do starej zalotnicy był-by on potrafił znosić z rezygnacyą i mocą, gdyby tylko ten stosunek był się wciąż w takich samych utrzymywał granicach w jakich się utrzymywał dotychczas. Atoli tak być w żaden sposób nie mogło. Pani marszałkowa bowiem nie była wcale z rzędu tych kobiet, które się miłości nauczyły od romantycznych poetów. Ona się urodziła w czasach jak najprawdziwiej klasycznych, w czasach, w których tak miłość jak i każdą rzecz inną, pojmowano ze strony materyalnej, praktycznej, i o tyle tylko jéj przyznawano wartości, o ile w niej było rzeczywistości. Więc marzyć, ubóstwiać wdzięki, odnosić drobne w miłośnych zabiegach tryumfy, szaleć z miłości, przeklinać, rozpaczać, wszystko to były dla niej rzeczy, bardzo przy miłości potrzebne, ale jeszcze przez to wcale nie były miłością. Nie Platon był jej nauczycielem, ale Epikur, i w tego tylko wierzyła. Dla tego zabiegi jej około Kamila nie mogły ani jednej chwili trzymać się w jednym punkcie a jej cele względem niego były daleko dalsze, niżeli on nawet w najgorszym razie mógł się w swojej naiwności spodziewać.

Nabierając tedy coraz więcej energii w swojem postępowaniu i będąc omyloną udawaną przez Kamila dla niej wdzięcznością, stawała się coraz śmielszą w swoich grzecznościach, coraz dowcipniejszą w swych żartach i coraz dokładniejszą w obrazowaniu swoich sympatyj dla niego. Aż nakoniec przyprowadziła do tego, że zaczęła niby to okolicznie lecz pomimo to dosyć jasno wypowiadać jemu konieczną potrzebę jakiegoś takiego widzenia się z nim, które-by było tajemnicą dla wszystkich. Wysłuchawszy Kamil takiego wyznania, przeląkł się go jak upiora i natychmiast przedstawiła mu się w całej swej straszliwości owa szkaradna i niebezpieczna kolizya, którą zaraz przy pierwszem dostrzeżeniu sympatyi marszałkowej ku sobie instynktowo był przeczuł. Zgroza i obrzydzenie zatrzęsły jego sercem strwożonem, niepewność jakaś okropna owionęła jego umysł i tak mu ciemno zrobiło się w głowie, że przez długą chwilę stał jak skośniały na miejscu i nie umiał ani słowa przemówić. Tego wrażenia dostrzegła w nim marszałkowa i widząc, że w tej chwili nie potrafi go doprowadzić do przyjęcia jej propozycyi, odwróciła rozmowę do innego przedmiotu.

Od tego atoli momentu Kamil tak się marszałkowej przestraszył stanowczo, tak ją znienawidził i tak ją sobie obrzydził, że się nie mógł patrzeć na nią śmiałemi oczyma. Ostatnia dusza odleciała od niego i nie tylko że odleciała, ale się zamieniła w najszkaradniejsze straszydło. Gdyby był mógł, był-by ją przeklął w głos w oczach całego świata, byłby ją napiętnował znakiem najpodlejszej ohydy i oddał na wiekuiste potępienie wszystkim czartom piekielnym, — i to-by mu było wielką rozkosz przyniosło i wynagrodziło za wiele a może i za wszystkie dotąd doznane cierpienia. Ale Kamil już wiedział teraz, co można a co nie można. W szkole własnych doświadczeń wyuczył on się dyplomacyi, której pierwszą zasadą jest oględność na wszystko, — i dla tego, zyskawszy dość czasu, namyślił się nad tym wypadkiem, a widząc że inaczej nie można, postanowił i to jeszcze znosić cierpliwie, zaś na wszelkie propozycye pani marszałkowej odpowiadać po dyplomatycznemu — grzecznie a ciemno, nie odmownie ale odwłocznie.

I ta dyplomacya prowadziła go dosyć szczęśliwie, bo jakkolwiek nie tracąca swoich pięknych nadziei kobieta przy każdej zdarzonej sposobności na różne sposoby ponawiała swoje projekta, i jakkolwiek każda taka próba wzburzała wszystką krew i brała na piekielne tortury wcale nie flegmatycznie usposobionego młodzieńca, — jednak młodzieniec prawdziwie po rzymsku wytrzymywał te męki i nie dał się wzruszyć w raz powziętem postanowieniu.

Ale i najbieglejsza dyplomacya nie jest niezdobytą fortecą, i rzymską cnotę już nieraz łamały przypadki, i najzimniejsza flegma już nieraz zawrzała, kiedy pod nią ogień podłożono znienacka. Bo wszystkie te przymioty ludzkie gruntują się tylko na jego woli, a wola człowieka jakże jest słabą w obec tych niezliczonych warunków które-

mi ją otoczył najgłówniejszy na tej ziemi warunek, warunek bytu! Otóż taki pewien warunek, pod postacią drobniutkiego przypadku, przyszedł i na Kamila.

Działo się to już w zimie, na dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia. Śniegi nawalne zasypały całą okolicę, mrozy zamurowały okna i całe towarzystwo mieszkające w domu jenerała siedziało w tym domu zamknięte, jak gniazdo muszek w pudełku. Był wieczór i było już po herbacie. Przed herbatą przywieziono gazety i listy z poczty, i jenerał, jak tylko obaczył dno w swojej filiżance, przeniósł się natychmiast do swejej kancelaryi, ogłaszając solennie, że odebrał ważne wiadomości od swego adwokata ze Lwowa i musi jeszcze dziś na nie odpisać, ażeby mogły odejść jutrzejszą pocztą. Po odejściu jenerała Edmund, który był podtenczas w miejscu swej konkurencyi, przeniósł się śród ożywionej rozmowy z Adelą do drugiego salonu, który graniczył z salonem, w którym pijano herbatę, lecz o trzy pokoje był oddalony od sypialni jenerała i zawsze wieczorem był tylko jedną lampą oświecony, rzucającą jakieś smętno-brunatne światło na kilka kroków od siebie a zostawiając kąty wpółciemne. W tym salonie Edmund z Adelą siadywali najczęściej i najchętniej, bo była to komnata ogromna, zastawiona masą sprzętów kolosalnych różnego wieku i mody, i trzeba było dość głośno rozmawiać w kącie, ażeby być słyszanym na środku. Tam za jakąś niezmiernie skrzydlatą kanapą z jednej i za piramidą kwiatów z drugiej strony była zwykła siedziba kochanków — i była to bardzo dogodna siedziba, bo tylko Bóg jeden mógł słyszeć co mówili ze sobą.

W herbacianym salonie została ciotka Adeli z Kamilem. Tutaj nie było w żadnym kącie tak romantycznego ukrycia i lampa poczwórna wisiała u stropu, która prawie dzienne światło rzucała na całą komnatę. Nie lubiła tego salonu wieczorem pani marszałkowa i zawsze narzekała na tę lampę poczwórną, która raziła ją w oczy, lecz nie mogąc nic na to poradzić, choć tem przynajmniej się ratowała, że zawsze wieczór, kiedy Kamil miał się do czytania zabierać, kazała przynosić małą lampkę z umbrelką, stawiała ją na małym stoliczku przed sofką, stojącą w kąciku i tam usiadała z Kamilem do zwyczajnego czytania. Dzisiaj także się stało tak samo i także tak jak zwyczajnie, zaledwie Kamil kilka stronnic jakiegoś francuskiego romansu odczytał, (Kamil miał haniebną w tym języku wymowę, ale marszałkowa wzięła sobie za zadanie tę wymowę poprawić.) zaraz pani marszałkowa przerwała czytanie i zaczęła jakieś opowiadania. Dzisiaj opowiadała mu jakąś arcy-bachancką scenę z czasów swego pobytu w Paryżu i tak mu wszystkie jej szczegóły malowała roskosznie, że aż mu serce zdrętwiało od obrzydzenia i wstydu, i patrzał na opowiadającą oczyma takiemi, jak gdyby za chwilę miał jej w twarz plunąć i odejść. Do tego oburzenia na marszałkowę przyczyniało się także jeszcze i to, że co chwila dolatywały go prawie wyraźne głosy z drugiego salonu. Raz się zdarzyło, że mówiono tam głośno i mógłby był choć kilka wyrazów ich samotnej rozmowy podsłuchać, i to mu stało się niepodobnem z powodu kłapiącej jak młyn marszałkowej. Potem przycichły te głosy a marszałkowa tymczasem skończyła swoje opowiadanie i przeszła swoją zwykłą koleją do sentymentalnych wywnętrzeń, któremi jak pajęczyną owinąć i jakby nektarem jakim upoić chciała siedzącego naprzeciwko niej młodzieńca. Atoli Kamil nic już nie słyszał, co mówiła jego rozgadana przyjaciółka i patrzył na nią jakby na płaz jakiś skrzeczący i jadowity, który go pozbawił śpiewu słowików i opluł jadem drogę powrotu do spokojnego mieszkania.

W tamtym salonie zaś tymczasem coraz większa robiła się cisza. Edmund siedział obok Adeli na małej kozetce i ściskając jej pulchną rączkę w swych dłoniach gorących, patrzał na nią jak w tęczę oczyma tak błyszczącemi płomiennie, jak je rospłomienić może tylko miłość młodego serca, równie oddalona od zimnej rozwagi jak od teoryi Platona. Adela zaś, oddawszy z rezygnacyą lewą rękę swojemu konkurentowi, oparła głowę na dłoni prawej, spoczywającej łokciem na poręczu kozetki, i zdawała się być niby bardzo smętnie zamyśloną. Przez długą chwilę patrzał Edmund w jej twarz, zawsze cudownie piękną a jeszcze stokroć piękniejszą w tem zamyśleniu, lecz potem przesunął prawą rękę po za jej kibić i niby z nieśmiałością starał się ją objąć do koła i do swych piersi przycisnąć. Temu się jeszcze wcale nie sprzeciwiła Adela i nawet silniejszem uściśnieniem ręki i uśmiechnionemi oczyma podziękowała mu za ten dowód prawdziwego uczucia, — lecz kiedy tem ośmielony młodzieniec przybliżył się rozognionemi usty do jej twarzy i chciał jej ukraść pocałowanie, dziewczyna się porywczo odsunęła od niego i zawołała:

— O nie, nie! a to co-by było takiego?

— Ja sam nie wiem, co-by to było takiego, — odpowiedział troszeczkę skonfundowany Edmund, — ale sądzę, że to-by coś było takiego.... co się zdarza na świecie.... a co dla mnie było-by niewypowiedzianą, rajską, anielską roskoszą.

— To dla pana, a dla mnie? — spytała naiwnie Adela.

— Dla pani.... powtórzył Edmund, — nie pochlebiam sobie, ażeby mogło być czemś tylko do roskoszy podobnem, ale śmiem się spodziewać, że niepowinno-by być nieprzyjemnością.

— Tak, może... rzekła na to w zamyśleniu Adela, lecz prędko dodała: — ale nie, nie; nie mogę na to pozwolić.

Edmund nie myślał wcale dostąpić tego szczęścia za pozwoleniem i zaledwie śmiał się spodziewać, że mu się

uda je ukraść, ale kiedy Adela sama wspomniała o pozwoleniu, zaczął ją prosić, błagać i zaklinać:

— Jeżeli tylko cokolwiek ma przychylności dla niego! jeżeli chce, ażeby jej słowom uwierzył: przez miłość Boga i na rany Chrystusa pana!

Na te wszystkie zaklęcia, które miały w sobie daleko więcej komiczności niżeli rzeczywistego zapału, Adela bardzo ciekawie się uśmiechała, lecz przerywając mu je nakoniec, rzekła półgłosem:

— O! nie, nie. Nic z tego nie będzie. Nie, nic nię będzie, bo co też panu nagle przyszedł za koncept... O! słyszysz pan, jak tam się cicho zrobiło w tamtym salonie?... Ach! ta ciotka! — dodała jeszcze ciszej, składając ręce jak do modlitwy i podnosząc oczy do góry, — ach! co to za ciotka!

— Ale proszę pani, co nas ciotka obchodzi!—zawołał Edmund, — każden to robi, co mu się podoba a przyjemności są różne na świecie.

I znowu zaczął błagać o całus, używając wszystkich środkow godziwych, jakie mogły go zaprowadzić do tego celu. Ale Adela tylko się uśmiechała naiwnie z jego usiłowania, przerywając mu czasem jakimś wykrzyknikiem i śmiechem, i mówiąc:—co też się panu tak nagle przyśniło! — Aż nakoniec, widząc Edmunda trwającego ciągle w swem wymaganiu i zaczynającego się już chmurzyć na jej upor nieprzełamany, rzekła do niego:

— A zresztą, wie pan Edmund co... żebym panu dała dowód, że nie całkiem głuchą jestem na pańskie prośby, to zezwolę na to, o co pan prosisz....

— Ach! boska Adelo! — zawołał Edmund z radością przybliżając się z otwartemi ramionami ku niej.

— Ale pomału! — rzekła na to odsuwając się szybko od niego dziewczyna, — bo tu jeszcze, będzie jeden warunek...

— Dwa, trzy, dziesięć warunków, wszystkich dopełnię,— wołał uszczęśliwiony młodzieniec.

— Nie, tylko jeden, — odpowiedziała dziewczyna, — a to następujący: żebyś pan swego przyjaciela, pana Łaskiego, tutaj przywołał i żeby on był temu przytomny.

— A toż co jest takiego? — zawołał Edmund, niesłychanie zdziwiony.

— To jest, ot tak kaprys sobie, — odpowiedziała Adela.

— Ja widzę, że to kaprys... ale przyznam się pani....

— A może i nie kaprys, — dodała następnie dziewczyna.

— Ja... ja doprawdy tego nie rozumiem, — mówił w pół do siebie młodzieniec; — bo dlaczegoż temu, co powinno być naszą wyłączną własnością, mają być ludzie przytomni?

— Jaki pan jesteś zabawny! — zawołała na to z troszeczkę złośliwym uśmiechem Adela, — bo najpierwej nie rozumiem, dlaczego pan kogoś takiego jak Łaski nazywasz ludźmi?... a potem, jakimże to pan jesteś samolubem! Powiadasz pan, że ten pan Łaski jest pańskim przyjacielem, powiadasz pan, że pocałowanie takie będzie wielkiem szczęściem dla pana, i niechcesz tem szczęściem podzielić się z swoim przyjacielem nawet w ten sposób, ażeby był temu zdaleka przytomnym.

Uśmiechnął się na to Edmund serdecznie i jak to wymaganie swojej kochanki zrozumiał, to niewiadomo, ale to pewna, że przycisnął jej rękę z zapałem do ust i z szczególniejszą radością wybiegł do drzwi, wołając przez nie:

— Kamilu! proszę cię też do nas na moment.

Kamil był już przyzwyczajony do takich zawezwań, bo bardzo często musiał dla przyjaźni Edmunda, to spory sądzić pomiędzy nim i Adelą, to jakieś kwestye uczuciowe psychologicznie objaśniać, to nakoniec zaświadczać prawdę jakichś wypadków, przez swojego przyjaciela opowiadanych. Takie obowiązki wypełniał on zwykle bardzo niechętnie, bo przy nich zyskiwał zawsze tylko nowe dowody miłości Adeli dla Edmunda a nienawiści dla niego; ale tym razem, będąc do najwyższego stopnia znudzony komplementami marszałkowej, prawie z radością pospieszył wezwaniu Edmunda uczynić zadosyć i w oka mgnieniu stanął o parę kroków od owej kozetki, na której kochankowie siedzieli.

Obaczywszy Kamila Edmund, niecierpliwy użyć tego szczęścia, którego się tak usilnie domagał, z niepowściągliwym zapałem objął kibić Adeli i składając głośny pocałunek na jej przysunionych ku jego twarzy ustach, jeszcze z większym zapałem zawołał:

— Kamilu! patrzaj jak my jesteśmy szczęśliwi!

Uczucie, jakie na taki widok zatrzęsło pogardzonym i tak nielitościwie deptanym kochankiem, każdy sobie wyobrazi z łatwością; pomimo gwałtowności wszakże, z jaką zwykle uderzają w serca kochanków podobne uczucia, Kamil to uderzenie wytrzymał z całą dzielnością człowieka, który umie panować nad sobą. Jakoż bez najmniejszej zmiany na twarzy zniósł on ten cios okropny i o tyle tylko swojemu wewnętrznemu wzburzeniu ustąpił, że natychmiast się odwrócił i wyszedł napowrót do tamtego salonu. Lecz tam już, zwłaszcza, że marszałkowa w tej chwili wyszła była do swojej sypialni a on sam się znalazł pomiędzy czterma ścianami, nie mógł dłużej panować nad sobą i rzuciwszy się prawie w nieprzytomności na sofkę, puścił wodze swojemu głęboko zranionemu i wściekle miotającemu się sercu. Okropny też to był moment dla nieszczęśliwego Kamila. Zdaje się, że poruszone tym ciosem całe dawne niebo jego stanęło przed jego pamięcią i całe piekło teraźniejszego męczeństwa rozwarło się przed nim. Wśród długich cierpień zdarzają się niecierpliwym temperamentom chwile, w których częstokroć z małego nawet powodu cała massa tych cierpień ogarnia

ich umysł i serce, i pogrąża ich w rospacz najokropniejszą, — takie chwile można-by nazwać paroxyzmami cierpienia. Taki paroxyzm opanował teraz Kamila. I był-to straszny paroxyzm. Nieszczęśliwy chłopiec wpadł w jakiś rodzaj chwilowego obłąkania, jakiejś besprzytomnej gorączki, w której cała twarz krwią mu nabiegła, zsiniały usta, rospłomieniły się oczy i taka wściekłość miotać nim zaczęła, że kopał przed siebie nogami, zgrzytał zębami i podarł kołnierz i mankiety u koszuli na sobie, zaczerpując przytem co chwila otwartemi usty powietrza i drąc dalej koszulę na piersiach, jak gdyby go ogień jakiś palił we wnętrzu i groził pożarem.

Tymczasem marszałkowa, która tylko po jakąś drobnostkę wyszła była do swojej sypialni, wróciła nazad do tego salonu i nie uważając wcale na to, co się działo z Kamilem a chcąc znowu o jeden krok dalej posunąć swoje miłosne około niego zabiegi, z roskosznem przymileniem i podniesioną do góry prawicą przystąpiła do niego, mając zapewne zamiar pogłaskania go po głowie i mówiąc:

— Mój lektor kochany, zmęczony.... (C. d. n.)

WYJĄTEK Z DRAMATU „UKRAINKA."

Akt drugi.

(Scena dzieje się w Warszawie w mieszkaniu Włodzimierza.

Scena pierwsza.

Włodzimierz i Jerzy.

(Włodzimierz siedzi w fotelu, Jerzy chodzi po pokoju prędkim, dużym krokiem.

Jerzy.

(stając przed Włodzimierzem.)

Więc cię się pytam jeszcze raz ostatni:
Czy szczerze myślisz rzucić związek bratni
I tych, z którymiś dzielił walk przygody,
Co bratniej części dali ci dowody,
Porzucić?

Włodzimierz.

Tak jest.

Jerzy.

Cóż Puławski powie?
Co mężny Sawa? gdy się nagle dowie,
Że ten, co prawie przewyższa go męstwem,
Co się odznaczył nie jednem zwycięstwem,
Dziś odstępuje!

Włodzimierz.

Lecz ja tak już dłużej
Żyć nie potrafię, mnie to męczy, nuży.....

Jerzy.

Męczy cię.. nuży? lecz tyś tak wytrwały,
A życie nasze, życiem czynu, chwały!
Same wspomnienia jakież nam zostały!
Pomnę, gdym wracał po nocnej wyprawie,
Zwalczywszy wroga o potrójnej sile,
Jak nasz Puławski powitał mnie mile,
Bratnio, serdecznie aż ze łzami prawie.
Lub jak to miło, kiedy w nocy stałem,
Na czatach, duszą i uchem słuchałem,
Baczny na odgłos po rosie lecący,
Czy to nie hasła? nie wraże okrzyki?
Duszą m wpatrzył się w każden punkt świecący,
Czy nie kozacze świecą się tam piki?

Włodzimierz.

Gdyśmy na czatach byli postawieni,
To wy najpilniej śledziliście wroga,
A moje oko w błękitnej przestrzeni
Tonęło — dojrzeć chcąc samego Boga.
Albo też tęskną biegało powieką
Po ziemi smutnej, pustej i nieznanej,
Gdzieś na brzeg Dniepru daleko, daleko,
Do Ukrainy, do mojej kochanej!

Jerzy.

A cóż nam szkodzą twe błędne marzenia,
Gdy za to w chwilach boju, poświęcenia,
Twojego męztwa dajesz nam dowody,
Lecąc na boje, jak gdyby na gody?....

Włodzimierz.

A ja sam niewiem, co się ze mną dzieje!
Ja czasem bitwą i krwią odurzony,
Zwierzęcem męztwem nagle rozszaleję,
Rzucam się w walkę bezmyślny, szalony.
Gonię ćmę wrogów, co podle ucieka,
I stosy trupów zostawiam i dalej
Pędzę niewstrzyman, aż z stępionej stali
Krew wraża płynąc na ziemię mi ścieka.
I wracam do was, do ciebie mój bracie,
Wy mnie witacie, dłoń krwawą ściskacie,
Czyn mój nagradzać chcecie wieńcem sławy,
Pijecie zdrowia, — a pośród biesiady,
Ja zdziwion patrzę, że po rzezi krwawej,
Głośnej radości na was tylko ślady!
Patrzę, i czoło nagle się ostudza,
I moje usta nie dotkną puharu,
Ze zwierzęcego, krwi chciwego żaru,
Nieziemski człowiek we mnie się rozbudza,
Cierpi okropne, piekielne katusze,
Zabitych wrogów jęczą przed nim dusze,
Krew ich, na serce spływa mu ze stali,
Kropla po kropli — i pali je, pali,
Bo on się czuje tych zabitych bratem.

Jerzy.

Bratem moskali??!!

Włodzimierz.

Nazwij mnie wariatem,
Nazwij mnie, jak chcesz, ale co ja czuję..

Jerzy.

Tego wszystkiego całkiem nie pojmuję.
Pamiętam tylko słowa księdza Marka,
Co raz w prorockiem powiedział natchnieniu.
„Że naszych zbrodni przepełniona miarka,
Że iść nie może kraj nasz ku zbawieniu,
Chyba okupim te zbrodnie i winy
Morzem krwi wrogów." Pamiętaj jedyny,
Te święte słowa — a wtedy na świecie
Nie będzie większej dla ciebie rozkoszy,
Jak gdy twa noga pierś wroga przygniecie,
I czarną duszę wrażą z niej wypłoszy.

Włodzimierz.

Nie, nie! bo Pan Bóg wszystką krew wylaną,
Zrzuci na świętej mej ojczyzny głowę,

Bo ci pobici z grobów swych powstaną,
I jak upiory swojo usta płowe
Przycisną do ran, do serca mej matki,
I pić krew będą, ssać życia ostatki,
Aż upaść musi.

Jerzy.
(oburzony.)

O bluźnisz na Boga!
Tak być niemoże, być nigdy niemoże,
Myżbyśmy mieli paść do stopy wroga,
Kiedy nad nami łaski bożej zorze, —
Gdyśmy pod Panny najświętszej opieką?
Wierzaj, upadek nasz jeszcze daleko,
Bo choć dziś mniejsze obrońców zastępy,
Gdyż jedni w grobie złożyli miecz tępy,
I sami legli, a drudzy odbiegli,
To znowu inni rycerze się zbiegną,
Na imię Maryi, pod cień jej sztandaru,
I znów jak pierwej obozem zalęgną,
Szerokie błonie pod murami Baru,
A nasz ksiądz Marek z krzyżem chrystusowym
Stanie przed nimi, proroczy, natchniony,
Natchnie ich nową wiarą, duchem nowym,
I pójdzie walczyć, zastęp niezwalczony!

Włodzimierz.

Bogdaj tak było, — ale czegoś Jerzy
Mimo mej woli to serce niewierzy,
Niemoże wierzyć — i szepce tajemnie,
Że to daremnie!

Jerzy.
(z zapałem.)

A choćby daremnie,
To przez ocean szeroki popłyniem,
Do brzegów świata nowego zawiniem,
A lud się cały wysypie na brzegi,
Witać wygnańców u wolności bramy,
I w jego znowu staniemy szeregi,
Za jego wolność życie nasze damy.
I tak po wolnej będziem stąpać ziemi,
Będziem oddychać piersiami wolnemi,
Póki z nas każdy do oręża zdolny,
Zyć będzie wolny, albo umrze wolny.

Włodzimierz.

Tutaj oględniej działać nam wypada,
Bo zapał zbytni a źle zrozumiany
Więcej zaszkodzi, niż rozmyślna zdrada,
Tu trzeba myśleć....

Jerzy.

Lecz bracie kochany!
Działać nie myśleć dziś trzeba mój Boże!
Co tu myślenie twoje dopomoże?
Oh! myśl jedyna gdy ojczyzna kona,
W sercu, — a w mieczu jedyna obrona.

Włodzimierz.

Lepiej-by przestać tej domowej wojny,
A naród tylko swą godnością zbrojny,
I król..

Jerzy.

Jaki król? Ten stolnik Litewski,
Ten uzurpator, intrus, co nie umie,
O własnej sile chodzić, lecz moskiewskiej,
Wielkiej carycy trzyma się spodnicy,
Jak małe chłopię. Oh! czyż on rozumie,
Co to panować? On siedzi na tronie,
Bawi się berłem, a powodzią szu mi
Po nad nim klątwa Boga i przyszłości,
A w kraju wojna, w krwi i we łzach tonie
Ta czeladź biała, — a on sprosił gości
Z północy, kruków i sępów gromadę,
By im czartowską wyprawiać biesiadę,
Z ciał potopionych...

(C. d. n).

O widowiskach w Krakowie w 1853 roku.

Pierwsze sprawozdanie, tyczące widowisk z roku 1852 umieściliśmy w odcinku «Czasu» N. 41 z dnia 20. lutego Wiążąc widowiska roku ubiegłego, z tamtemi, w jedną całość osnowy, nakreślamy cyfry widowisk w roku 1853. dawanych, streszczając je w zebranie prostych dat i nazwisk, bez wdawania się na teraz w sąd ogółowy i rozbiory, nie chcemy bowiem niepotrzebnie rozwlekać przedmiotu.

Z dniem 28. listopada 1852 rozpoczął widowisko polskie Adolf Chełchowski, jako nowy przedsiębiorca; albowiom dawny kontrakt z poprzednim przedsiębiorcą wygasł. Nowy dyrektor otrzymał kontrakt na lat dwa, z prawem pobierania zasiłku rocznego od wysokiego rządu w ilości 20,000 złpol., z przywilejem na piąty bilet od widowisk poza teatrem dawanych, na dawanie redut, znaczne przynoszących dochody, z uwolnieniem go od płacenia czynszu c. k. rządowi z gmachu teatralnego, który to czynsz dotąd opłacano w ilości 6,000 złp., — i z wolnością zamieszkiwania w gmachu teatralnym, wynajmowania biufetu teatralnego. Te były korzyści za które nałożono mu obowiązek dawania widowisk przez cały rok i utrzymywanie opery.

Celem dotrzymania kontraktu zajął się dyrektor sprowadzeniem opery niemieckiej i w tym zamiarze wysławszy zaufaną osobę do Wrocławia, sprowadził za pośrednictwem tejże, Karola Nachtigala jako dyrektora opery, który podjął się komplet opery utworzyć. W dniach 12. i 16. lutego wystąpili w kwodlibetach sprowadzeni operzyści, ale prócz panny Kreyssel nie rokowali powodzenia. Nadto Nachtigal nie miał chórów, a przedstawieni artyści w małej liczbie nie potrafiliby uformować jakiej takiej opery. Dla tego Nachtigal ustąpić musiał Karolowi Gaudeliusowi, reżyserowi z teatru Balenstaedt, który zjechawszy z trupą swoją i dobrawszy członków z zawiązującej się trupy Nachtigala, otworzył widowiska oper niemieckich sztuką «Cyrulik Sewilski» odegraną w dniu 12. marca t. r. jako w uroczystość ozdrowienia najjaśniejszego pana i pierwszej jego bytności w kościele ś. Szczepana. Opera ta rozwiązała się z dniem 20. czerwca, gdy naczelnik jej już z początkiem tego miesiąca ustąpił z zawiadowstwa.

Taki był początek opery, co się zaś tyczy dramatu i komedyi polskiej, te nie uległy żadnej zmianie od roku poprzedniego, owszem mimo reklamy dyrektora, zamieszczonej w N. 7. «Czasu» 1853 r. w której oświadcza o powiększeniu personalu, sprawieniu mebli, ubiorów, przybraniu *wielu młodzieży płci obojej kształcącej się na artystów*, mimo tego było mniej o jednego artystę niż w roku przeszłym, nikt nowy nie przybył i w wystawach sztuk, w zaopatrzeniu repertoaru, nie znaleźliśmy odmiany. Słowa reklamy: *Scenie krakowskiej bardzo dobrze się powodzi, przestała już być biedną*, odnieść musimy jedynie do znaczenia, iż abonament lóż rozebrany został bardzo zadawalniająco, i w ogóle widowiska były uczęszczane.

Teatr polski ukończył przedstawienia z dniem 25. maja i wyjechał na letnie występy do Galicyi, będąc powierzony zarządowi panny Grochowskiej. Przez czerwiec i lipiec trupa ta grywała w Tarnowie, komedye i dramata jakoto: 1) Żydzi. 2) Dymitr i Marya. 3) Gabryella. 4) Szpieg Bonapartego. 5) Antoś i Antosia. 6) Barbara Rusinowska. 7) Chłopi arystokraci. 8) Lekarz i prawnik. 9) Gałganiarka z Pociejowa. 10) Łokaj za pana. 11) Godzina małżeństwa. 12) Mazepa i t. d. Pobyt aktorów w Tarnowie mile był przyjęty przez tłumnie gromadzącą się publiczność z dalszych nawet okolic. Zachęceni tem artyści, zwiedzili w sierpniu Rzeszów i tam odegrali sztuki: 1) Opieka wojskowa. 2) Pamiętniki szatana. 3) Biała kamelia. 4) Talizman niewidzialności. 5) Chłopi arystokraci. 6) Godzina małżeństwa. 7) Berek. 8) Antoś i Antosia. 9) Rinaldo. 10) Nauczyciel w kłopotach. Te sztuki zapełniły 6 widowisk dawanych z początku po cenach miejsc 1 złr. i po 40, 30 i 10 kr. m. i potem po zniżonych 40, 30, 20, 10 kr. m. Lubo teatr był dość zapełniany, wszelako nadziejom nie odpowiedział. Linkowscy grali najlepiej, brakowało jednak aktorki do ról kochanek, bo panna Targowska pojechała do Lwowa, panna Chełchowska została w domu, a pani Krzyżanowska występowała jako amantka. Później wróciła trupa polska do Tarnowa i tam dawała widowiska. (D. c. n.)

Times.

Times, ów krociami tysięcy liter wysadzany dziennik, niezaprzeczenie jest nie tylko najważniejszym dziennikiem Anglii, ale oraz najwierniejszem źwierciadłem i najszczęśliwszą kierowniczką opinii większej części angielskiego ludu, nie wchodząc w to, czy ta panująca opinija jest wypływem polityki zdrowej i sprawiedliwej, albo nie. Dość na tem, że żadna gazeta w takiem nie jest poważaniu, żadna tak długiej i trwałej nie doznaje przychylności ogółu, żadna nie jest tak rozszerzona, jak Times, której numera miliony oczu nietylko w ojczyźnie, ale i na lądzie, na całej kuli ziemskiej przebiegają.

Sposób, w jaki olbrzymi dziennik ten powstaje, który czytelnikom tyle przedmiotów daje do czytania, ile spory tom w 8ce zawiera, tem więcej musi być ciekawy, ile że żadna prasa w świecie takiej masy drukowanego papieru w świat nie wyseła.

Wstąpmy o 11. godzinie rano do zakładu tego dziennika, i zajrzyjmy do pokoju nowiniarskiego na dole. Tam przybył już najczęściej umyślny kuryer z kolei żelaznej z Dover z ważniejszemi depeszami korrespondencyi paryskiej. Nie dowierzamy oczom, w jak krótkim czasie przywiezione rękopisy w drugiem wydaniu dziennika wydrukowane i rozesłane bywają. Wszystko jest w największym ruchu i porządku. Przybywają zecery z sali uwiadomień, w oka mgnieniu rękopisy rozcięto na karteczki po 8—10 wierszów zawierające i rozdano między nich. Skoro który z temi kilkoma wierszami gotów, dostaje nowe do ułożenia. Kolumna za kolumną składa się, czyta i poprawia lotem błyskawicy. Naczelny dozorca przebiegnie jeszcze sam wszystko oczyma, i oddaje pod prasę.

Pięknemi wschodami dostajemy się do nowego maszynowego pokoju i tu mamy sposobność przypatrzyć się ruchomej maszynie, jednej z największych i najciekawszych, jakie w tym wieku wynaleziono. Jest to maszyna drukarska z formami pionowemi. Times ma, jak zwykle, po obu stronach arkusza po 4 stronnic, które razem technicznym wyrazem formą się zowią. Forma więc z stronnicami 1, 4, 5, i 8 kładzie się na jedną, forma z stronnicami 2, 3, 6 i 7 na drugą przeciwstojącą maszynę. Każda maszyna ma w środku jeden wielki walec, w około którego ośm mniejszych czyli drukarskich się ociera, a takim sposobem 8 egzemplarzy Times wylatuje na raz. Zwykle się w jednej godzinie wyciska 10,000 egzemplarzy, a w razie potrzeby i 12,000, czyli po 200 na minutę. Zasada, za której pomocą taka niezmierna ilość odcisków się odbija, może być jeszcze nieskończenie dalej rozwiniętą. Taka maszyna przy dostatecznej wielkości walców środkowych i odpowiedniej ilości pobocznych, mogłaby z równą łatwością 100,000 egzemplarzy na godzinę wydrukować. Ta maszyna, wynalazku Applegetha już od trzech lat jest w drukarni Times w ruchu z jak największym skutkiem, gdyż w tym czasie druk tego dziennika ani razu się nie przerwał, a czasem i 50,000 egzemplarzy drukować musiano. Obie maszyny są parowe, bardzo pojedyncze i niewiele miejsca zajmują, i mogą 50—100 obrotów zrobić w godzinie.

Gdy jeszcze przed zaprowadzeniem tej nowej maszyny Times tak już była wziętą, że dla masy potrzebnych egzemplarzy dopiero o 11. lub 12. godzinie wydawaną być mogła, to nieraz wypadła potrzeba dwoistego jej składania, aby liczbę czytelników zaspokoić. Dziś już o 8mej godzinie można ją dostać w najodleglejszym zaułku Londynu.

Podczas, gdy pierwsze wydanie już wypotrzebowane, opuszcza drugie wydanie prasę, a po tłumie ludu, który na nią czeka, można poznać, że i to ogromny ma odbyt. W dzielnicy Londynu „City" jest to wydanie bardzo czytane dla nowin z kontynentu, kursów giełdy londyńskiej, depeszy telegraficznych i doniesień z okrętów z Southampton i Liverpool, które zawsze zawiera.

Times jest pierwszym dziennikiem, który się począł drukować za pomocą pary. Dnia 24. listopada 1814 r. w odcinku uwiadomioną została publiczność, że próba drukowania maszyną cylindrową za pomocą pary, jako siły poruszającej, zupełnie się udała i że właśnie obecny numer jest odciskiem takowej maszyny. Ale wiele cierpliwości i wytrwałości potrzeba było do wykonania tego nowego sposobu. Osoby, zatrudnione przy dawniejszych prasach ręcznych, tak temu wynalazkowi były przeciwne, że przygotowania do niego w największej tajemnicy porobiono, i przeprosiły się one z nim aż wtedy, gdy właściciel Timesu uroczyście im zaręczył, że ani zatrudnienie ich przez to ustanie, ani płaca przez to zmniejszoną nie będzie. Uspokoiło ich to w prawdzie na chwilę, ile że byli zaopatrzeni, ale na przyszłość upatrywali w wynalazeku tym zupełny upadek swego rzemiosła. Lecz nic na świecie mniej się nie sprawdziło, jak to ich bojażliwe rozumowanie. W roku 1814. pewnie nie było przy Times więcej drukarzy zatrudnionych, jak sześciu; dziś prócz naczelnego dozorcy i maszynisty ma Times przeszło 50 ludzi zatrudnionych w oddziale maszynowym; same tylko obie maszyny pionowe, w ruchu 36 ludzi zatrudniają.

Sala, w której papier wilgotnym robią i do druku przysposabiają, jest zaraz pod salą maszynową. Wszędzie wznoszą się prawdziwe sterty papieru, zdaje nam się, żeśmy w magazynie jakiego hurtownika papieru. Można sobie wystawić, jaki ogrom papieru Times spotrzebowuje, kiedy podatek od samego papieru 160,000 złr. m. k. na rok wynosi. Za stempel płaci Times osobno 700,000 złr. m. k.

W kolumnach dziennika Times doniesienia najpewniej i najprędzej mogą kursować po całym świecie, całkiem więc naturalna, że niezliczona ilość doniesień do niej spływa, które szczególnej staranności wymagają. Po odebraniu takowego anonsu i jak najakuratniejszem zapisaniu adresu podawcy w osobną książkę, przechodzi do sali doniesień, gdzie 40 zecerów bez ustanku zatrudnionych ich ułożeniem. Oczywiście trzeba te doniesienia przejrzeć, poprawić, praktycznie ułożyć, i w takie miejsce je wsadzić, aby szukającemu na pierwszy rzut oka wpadło to, co go interesować może. Doniesienia te porządkują podług pewnego systemu, który czytelnikowi przegląd ułatwia.

Podatek od doniesień z Times wynosi rocznie 200,000 złr. m. k., suma niezaprzeczenie ogromna, która-by się niesłychanie powiększyć mogła, gdyby te inseraty nie przeglądano tak skwapliwie. Doniesienia bombastyczne szarlatanów, do wcipy bez treści albo złośliwe odrzuca Times, gdyż choćby za największą opłatą nie chce się poniżyć do podania ręki tym którzy publiczność podejść albo oszukać chcą. Za żadne pieniądze nieprzyjmuje artykułu, któryby cieniem niemoralności był splamiony.

Ale im staranniejszy jest dobór tych artykułów, tem więcej się mnożą. Prawie codziennie musi dla tego Times przyłączać dodatek, a ponieważ za niego się nie płaci, więc koszta druku jego są ogromne, tak że nieraz przy wielkim rozkupie numeru właściciel Timesu na tych doniesieniach traci, za każde doniesienie płaci się bowiem 45 kr. m. k. taxy, za każdy arkusz $1\frac{1}{2}$ kr. a do tego podatek od papieru wynosi ogromną sumę. I tak przy pewnej liczbie egzemplarzy dochód z doniesień w dodatku równa się kosztom papieru i podatku, lecz każdy egzemplarz, przechodzący tę liczbę, jest stratą. (D. n.)

Rozmaitość.

* **Espartero i O'Donnel.** Oba ci naczelnicy obecnej rewolucyi w Hiszpanii najmniejszego, ani zewnętrznego ani wewnętrznego między sobą nie mają podobieństwa. Espartero zaraz na pierwszy rzut oka odznacza się wzrokiem swoim spokojnym i pewnym, ocienionym wielkiemi brwiami w wzroku tym wybija się jego wielkość duszy, i umysł, któremu trudno nie poddać się. Usta jego ściśnięte, broda szeroka, snać to mąż energiczny i wytrwały, który skoro co przedsięweźmie, to i wykona. Wzrostu jest średniego, ma lat 60, choć wydaje na 50, czoło szerokie, oko ciemne, ogniste, skłonne do uśmiechu, w którym przełyska się dobroć serca i otwartość. Co do czynów i zasług swoich jest pierwszym między wszystkimi dziś żyjącymi Hiszpanami. Obejściem swojem zyskał serca towarzyszów broni. Nieraz z swego i żony swojej majątku załatwiał potrzeby wojska. Dla tego też, gdy dawniej ustąpił z wysokiej posady swojej wojskowej, wyszedł ubogi, co się rzadko dziś wydarza. Majątek dostał po żonie, córce bankiera; nigdy mu ona nie odmówiła swego podpisu, gdy szło o ofiarę dla wojska, którego mąż jej był naczelnikiem. On sam, z domu rodzicielskiego nic nie dostał prócz szabli, którą dziś w Hiszpanii niestety! dobić się można honorów i sławy, ale nigdy niezaparł się on ubogich krewnych swoich. Piękny dał tego dowód podczas regencyi swojej. Podczas wielkiego balu w Buena-Vista doniesiono mu o przybyciu jego wuja i dwoch kuzynek. Espartero otwartemi ramionami powitał ich, przedstawił śmiało wuja jako urzędnika przy kolei żelaznej w la Mancha, a kuzynki jako szwaczki, a jak mówią nie bez szczypty dumy demokratycznej, że on z tak niskiego pochodząc tak wysoko się wyniósł. Wszystko to nie może nas wprawdzie jeszcze przekonać, że sprosta dzisiejszemu stanowisku swemu, o wiele trudniejszemu, niż dawniejsza jego regencya, którą niepotrzebnie z rąk wypuścił; ale zresztą przeszłość człowieka jest jedynie pewną niejako podstawą, na której domysły o przyszłości jego czynić można.

Inaczej już i dość nieszlachetnie przedstawia nam się życie i charakter O'Donnela. Jest on potomkiem irlandskiej familii O'Donnel, która przed laty w Hiszpanii osiadła i tam nie jedną rolę odgrywała. Ojciec dzisiejszego głównego naczelnika rewolucyi, był za czasów Ferdynanda VII. dyrektorem artyleryi i miał czterech synów, których jakoś wszystkich świetnie wykierował; tylko najmłodszy z nich, o którym właśnie mowa, przeszedł po śmierci Ferdynanda VII. w służbę Izabelli. Jako żołnierz dzielny, zdatny, surowy w karno-

ści jak ojciec jego, najzaciętszy nieprzyjaciel wszelkich idei liberalnych, miał ztąd otwarte pole do wzniesienia się z stopnia na stopień. Zgrozą napełnił krainy Basków okrucieństwem swojem. Przy ustąpieniu Krystyny z frymarki w królestwie, był jenerał-lejtnantem, hrabią Luceno i naczelnym dowódzcą centralnej armii, a gdy Espartero zwyciężywszy, został w r. 1840 regentem, wydalił się on do Paryża, i gospodarzył tam z Krystyną. W roku 1841 napadł na Pampelunę, dostał ją przekupstwem w swe ręce, zajął w imieniu Krystyny, i trzymał się w niej, podczas gdy jenerałowie Concha i Diego Madryt i Leon wzburzyć a młodziutką królowę pojmać usiłowali! Ale Dulce, wtedy porucznik, dziś jenerał i wspólnik O'Donnella, broniąc pałacu, dzielnie się oparł z helebardyerami swoimi, i strącenie Espartera z regencyi nie udało się. W roku 1846 był O'Donnel gubernatorem Kuby; z tej zyskownej posady odwołał go marszałek Narwaez przed zwykłym okresem, t. j. przed upływem 3 lat. Tego zhańbienia go nie przebaczył Narwaezowi nigdy. Aby się pomścić, uorganizował przeciw niemu tak silną oppozycyą, że ten sam podać się musiał do dymisyi z posady ministra-prezydenta. Pomimo tego widzimy po dwu latach O'Donnella członkiem stronnictwa, które Narwaeza sobie za naczelnika przybrawszy, Bravo Murilla przymusiło, w rządach swoich przyjąć zasadę: «Królowa rządzi ale nie panuje.» I niegdyś najzaciętszy obrońca absolutyzmu, stanął po lewej stronie konstytucyonistów, nieprzyjaciel niegdyś Espartera, podnosi w obecnych czasach z Messiną, Dulcem, osobistymi przyjaciołmi Espartera, sztandar rewolucyi która podniosła tryumf nieprzyjaciela jego i zasad, przeciw którym on do niedawna słowem i orężem walczył. A tak więc O'Donnel niema pono zasad własnych, i można go nawet obwinić, że oburzenie moralne, które właśnie przeciw obecnemu rządowi okazuje, ma źródło w pieniądzach, które, jak mówią, Anglia Esparterowi przesłać miała. Bądź co bądź, rewolucya na usunięciu O'Donnela tylko zyskać może.

Czółno do ratowania. Wszystkie okręta, przeprawiające wychodźców, muszą mieć podług ustawy niższej izby angielskiej Parratta czółno do ratowania. Składa się ono z rur gumilastycznych płótnem i siatką tak obłożonych, że można je w bardzo krótkim czasie rozwinąć, i zrobić się z nich płytkie czółno, które przy rozbiciu okrętu jest w stanie sto i więcej osób przez bałwany przenieść.

Bawełna do strzelania. Ucichła owa tak głośna wrzawa o tej bawełnie. Nieprzestano jednak, po cichu próbować, czy nie mogłaby być przecie użytą. Ukazało się więc, że do ręcznej strzelby nie może być użytą, ale wedle prób i sprawozdania p. Lenk, c. k. podpułkownika artyleryi, dla dział zaleca się nie tylko lekkością swoją, ale i dla tego, że mniej do naboju jej potrzeba i dalej i silniej niesie. Ma być dla tego w parku c. k. austryackim przy 4 bateryach zaprowadzoną zamiast prochu.

* Rycina mód do Nr. 111. dołączona przedstawia 1) Ubior od wyjscia. Włosy do góry zaczesane, wstążką morową fioletową z tyłu podpięte. Suknia Medicis koloru *maïs* (kukurudzy) w fioletowe pasy, stanik wycięty, zaokrąglony; rękawy we dwa bufy, szlarką obszyte, spodnica we fałdy. Peleryna Agnès z muszlinu haftowana Ubior ten składa się z pasu muszlinowego, nakształt szlarki spadającej na biodra w formie baskiny, na tym pasie haftowane są małe bukiety, każdy obszyty koronką *valenciennes*, formuje medaillon; te zas medaillony obszyte są wstawką haftowaną i koronką *valenciennes*; oprócz tego szeroka koronka *valenciennes* spada we dwa rzędy do koła. 2) Ubior od wyjścia. Kapelusz z słomki ryżowej i białej tafty, przystrojony po obu stronach maczkiem z krepy. Kania i fartuszek kapelusza są słomką ryżową ubrane. Pod spodem fontazie czarne i różowe, blondyną przeplatane.

Suknia jedwabna, ubrana taśmą i frendzelką. Stanik wysoko zachodzący, z baskiną do koła w zęby wycinaną, taśmą i frendzelką obszyty. Spodnica o trzech falbanach, w zęby wycinanych i również jak stanik obszytych. Przy każdym wycięciu zęba jest mały fontaź. Kołnierz muszlinowy haftowany, koronką valenciennes obszyty we trzy rzędy, z przodu szarfą muszlinową haftowaną, koronką valenciennes obszytą, na fontaź związany i w szarfy długie spadający. Rękawki muszlinowe w bufki koło ręki ściągnięte i koronką valenciennes obszyte.

Kolorowane wzory na rycinie drugiej wyobrażają: 1) Woreczek szydełkiem jedwabnem i złotem przerabiany 2.) i 3.) wzory na pugilares lub cygarniczki.

Przyjechali od dnia 18. do 19. sierpnia do Lwowa:

PP. Rylski Wincenty, z Zagórza. Skolimowski Julian, z Dynisk. Zarzycki Tytus, z Chotyluba. Kenigsberg Piotr, z Mużyłowa. Kalinowski Władysław, hr. z Bakowiec. Groblewski Dyonizy, z Malinowa. Kotkowski Apolinary, z Hawłowic. Radziejowski Klemens, z Krakowa.

PP. Strachocki Józef i Roman, z Rudnik. Terlecki Julian i Antoni, z Łanowic. Truskolawski Henryk, z Jasieniowa. Badeni Aleksander, hr. ze Sambora. Górski Wincenty, z Lipicy. Wodzicki Kazimierz, hr. z Krakowa. Wodzicki Ludwik, hr. z Zaczernia. Malczewski Juliusz, ze Skwarzawy. Wiśniewski Henryk, z Dobrzan. Janiszewski Juliusz, ze Stryja. Gołuchowski Stanisław, hr. z Krakowa.

Wyjechali od dnia 18. do 19. sierpnia ze Lwowa:

PP. Szlachtowski Stanisław, do Złoczowa. Kakowski Jan, do Czortkowa. Radziejowski Edward, do Złoczowa.

PP. Znamirowski Karol, do Hroszowa. Dobek Konstanty, do Sarnik. Orłowski Oktawian, do Sarnik. Guzkowski Marcin, do Nowego miasta. Czermiński Ludwik, do Nowego miasta. Szumlański Tytus, do Przemyślan.

Kurs telegrafowany z Wiednia 20. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	97¼.	Medyolan za 300 lirów	117.
Augsburg za 100 złr.	118¼.	Paryż za 300 franków	138⅜.
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy . . .	117⅜.	Srebra agio	18
		Pożyczka 5% 85. 4½	74.
Genua.	—.	Pożyczka lit. B. . . .	—
Hamburg za 100 tal. banco.	87¼.	Akcye banku . . .	1256.
Konstantynopol	—.	Kolej północna	—.
Liwurno.	—.	Obl. ind.	75½.
Londyn za 1 funt szterl.	11. 31.	Nowa pożyczka z loteryą	96$^{11}/_{16}$.
Marsylia	—.		

Dzisiejszy **Kurs lwowski.**	Gotówką				towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr. 28	złr.	5	kr.	31.
Dukat cesarski	„	5	„ 33	„	5	„	36.
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„ 33	„	9	„	36.
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„ 51	„	1	„	52.
Talar pruski	„	1	„ 46	„	1	„	48.
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„ 20	„	1	„	21.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . .	„	87	„ 15	„	87	„	45.

Obligacye indemnizacyjne 74 — do 75 Złr. — kr.

Lwów 19. Września.—Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 27 złr. 30 kr. do 30 złr. 30 kr. — Żyta po 20 złr. — kr. do 22 złr. — kr. Jęczmienia po 17 złr. 15 kr. do 17 złr. — kr. Owsa po 12 złr. — kr. do 12 złr. 30 kr. Grochu po 30 złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 15 złr. 30 kr. do 16 złr. — kr. — Ziemniaków po 7 złr. 15 do 8 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 26 złr. — kr. do — złr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 2 kr. do — złr. 15. kr. Centnar słomy 1 złr. 45 kr. do 1 złr. 7. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity — Złr. — kr. m. k.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**